Lwów, 23. Grudnia. № 153. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Z ŻYCIA AKTORA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Poczciwy Sznaps leżał u nóg swego pana, i jak gdyby rozumiał że o nim mowa, podniósł ku niemu pojętne oczy swoje i kiwnął ogonem na znak zadowolenia swego.

— Patrz pan, jak mnie zrozumiał, i jak leży wierne i poczciwe psisko u stóp moich.

— I ja jestem u stóp twoich mój Jasiu! ozwał się dźwięczny głos Zosi, która niepostrzeżona nadeszła, i w rzeczy samej uklękła po drugiej stronie przy kochanku swoim.

— Szczęśliwi! pomyślałem w najlepszej wierze, i z rozczuleniem więcej jak naiwnem patrzałem na tę grupę, która w tej cichej nocy, przy oświetleniu xiężyca, wydała mi się cudnie piękna, i była nią w istocie.

Nie zważając na przytomność moją, uścisnęli się kochankowie, aż mnie zazdrość porwała. Po kilku jeszcze słowach, wesoło powiedzianych, powiedziała nam dobra noc!

— Dobra noc panu! zawołała z pustotą. Nie wierz pan temu wszystkiemu co będzie mówił o mnie. Ja go przecie kocham... kocham... kocham!

I powtarzając to tyle dla młodego człowieka powabu mające słowo razy kilka, aż się echo odezwało w niedalekim borze, znikła w bramie zajezdnej.

Myśmy zostali sami. Jan opowiadał mi swoje dzieje. Nie wiele było w nich nadzwyczajnego, a mniej jeszcze wesołego.

Rodzice Jana byli ubodzy ludzie; ojciec jego był rzemieślnikiem, ciężko na chleb zarabiającym. Jan był najmłodszym z całego dosyć licznego rodzeństwa, i jako taki, był ulubieńcem matki, która ga pieściła, i naprzeciw surowszemu broniła ojcu. W tym samym domu mieszkał stary kawaler, zamożny dosyć ale tetryk, siedział zawsze prawie samotny w swoim pokoju, zajęty ciągle czytaniem, do czego mu służyła spora dosyć biblioteczka. Stary ten kawaler trzymał przypadkiem w braku innego kuma naszego Jasia do chrztu, co go postawiło w moralnym niejako obowiązku mieć jakieś o nim staranie. Jakoż przypuszczał go do siebie, uczył go nawet czytać, za co mu się chłopiec rozmaitemi odwdzięczał usługami. Gdy już był starszy, dawał mu ojciec chrzestny książki do czytania; do książek a mianowicie do wierszów i sztuk dramatycznych aż trząsł się chłopiec, i o niczem prawie nie marzył jeno o teatrze.

O kilka kroków od skromnego ich pomieszkania był budynek teatralny, któremu chłopiec nieraz po całych godzinach przypatrywał się z tajemniczem drzeniem, i Bóg wie jakie cuda marzył o tem, co się w nim dzieje. Ojciec chrzestny poznawszy to, dawał mu nieraz bilety na galeryą a słysząc zapalone opowiadania jego, gdy wrócił z teatru, powtarzał zawsze:

— Ty będziesz aktorem!

I dobrze przepowiedział. Przy takiem wychowaniu i pieszczotach matki, nie wiele się nauczył ojcowskiego rzemiosła, do którego go ojciec początkowo przeznaczał. Gdy więc po śmierci ojca, cały zarobek a z nim utrzymanie biednego domu ustało, Jan, kochajacy matkę nad wszystko, postanowił pracować dla niej, i za pomocą ojca chrzestnego wszedł do teatru. Smutne to i przykre początki w zawodzie teatralnym; długo musiał darmo i ciężko pracować, usługiwać wszystkim, być prawdziwie sługą wszystkich sług, nim mimo talentu, jaki w rzeczy samej posiadał, przyszedł do tego, że mu przecie najniższe udzielać zaczęto role. Postanowił więc puścić się w świat i wykształcić się po teatrach prowincyonalnych, gdzie zwykle niema zbytku artystów, aby mógł później w stołecznych ważniejsze objąć role.

— Lecz przecie w teatrze stołecznym łatwiej zda mi się jest wykształcić się; przerwałem mu.

— Tak się to wydaje pozornie; lecz wykształcenie aktora choćby ten miał największe talenta wrodzone, zależy głównie od dyrektora teatru, rozumiejącego sztukę i dbałego o nią. U nas na nieszczęście takich dyrektorów bardzo mało; po większej części dbają oni nie o sztukę ale o własną szkatułę. Idźcie szukać takich dyrektorów jakim był Bogusławski, jakim nareszcie jest tam u was J. N. Kamiński, który choć twierdzą o nim, że jego żona więcej rządzi niż on, wykształcił takich mistrzów, na cały kraj dziś już sławnych, jak Nowakowski, Bensa, Smochowski, takie talenta znakomite, jak Rudkiewicz, Starzewski, Rejmers, i tylu innych.

Aby się wykształcić, trzeba mieć czas wolny, a zatem mieć utrzymanie zabespieczone, Jan zaś w Krakowie ledwie przy pomocy ojca chrzestnego mógł wyżyć wraz z matką.

Zasłyszawszy zatem o jakiejś trupie aktorów, robiącej niezłe interesa w Lublinie, postanowił tam się udać. Zostawiwszy matce, co tylko mógł zebrać, o kilku złotych puścił się piechotą w podróż, a że opatrzność nigdy nie opuszcza, doszedł jakoś szczęśliwie bez głodu i chłodu. Był to mglisty ranek jesienny, gdy Jan przywędrował do Lublina i żadnych dalszych niemając adresów zaczął się kręcić nieborak po nieznanem mieście. Oglądał się właśnie po twarzach przechodzących, kogo by się zapytać, gdy nagle na rogu ulicy postrzegł postać dziwną, która go niepospolicie zaintrygowała. Był to oczywiście człowiek, bo stąpał na dwóch bosych wprawdzie, ale zawsze ludzkich nogach, i miał dwie ręce przystrojone w koszulowe tylko rękawy, wzniesione do góry; miał nawet głowę miasto czapki w chustkę zawiniętą, a na grzbiecie, w braku płaszcza, zawieszona była rzecz, którą także ludzie, choć nie do ubrania wymyślili; była to rogóżka słomiana, w całej swej prostocie. Co go więcej jeszcze zaintrygowało, postrzegł że te dwie do góry wzniesione ręce, przylepiały afisz ogromny, czerwonemi literami zwiastujący zbierającym się ulicznikom: „Syrenę z Dniestru.“ Uradował się Jan niepospolicie, lecz o ileż więcej się ucieszył, gdy w twarzy z pod chustki wystającej, zdało mu się poznać znajomego.

— Franiu! to ty?...

— Jasiu! to ty?... zawołali obydwa, i uściskali się serdecznie.

Franciszek kolegował z Janem czas jakiś w Krakowie i był już do tej przyprowadził doskonałości, że grywał gadających duchów, i do zakulisowych pomagał grzmotów. Niemogło się tedy Janowi pomieścić w głowie, jakim sposobem mógł dawny jego kolega tak nisko spaść, aby teraz w rogóżkowym płaszczu i z bosemi nogami, afisze przylepiał. Zaczął się naturalnie bać o swoją własną karierę.

— Cóż to się stało Franiu? ty już nie jesteś aktorem?..

— Jestem, i najlepszy dowód, że gram dzisiaj Terefercia w Syrenie.

— Ależ rogóżka?.. bose nogi?... chustka na głowie?....

— W wolnych chwilach zastępuję z woli dyrektora afiszera. To mój Jasiu cała historja.

I po drodze rozpowiedział mu tę historję.

Dyrektorem wędrującego towarzystwa, które do Lublina przybyło, był niejaki pan Makary, który w towarzystwie sobie podwładnem, nowy i niewidziany zaprowadził porządek. Wychodząc z tej zasady, że aktor nie publiczności, nie sztuce, ale dyrektorowi służy, utrzymywał członków swego towarzystwa w najdespotyczniejszej podległości. Żaden z aktorów nic nie mógł mieć swego, bo wszystko było własnością ogółu; a ogółem towarzystwa idąc za przykładem Ludwika XIV. który mawiał: „L'Etat c'est moi!“ mianował pan Makary siebie samego.

— Im więcej ma aktor do stracenia, tem mniej pracuje dla dobra ogółu, to jest dla mnie! mawiał pan Makary. Wdaje się w zabawy, które go odrywają od zajęć mnie pożytecznych.

A że trudno się bawić bez butów i surduta, aktorowie pana Makarego chodzili po całych dniach w stanie nie zbyt od natury dalekim. Dopiero wieczorem dostawali pożyczanym sposobem, buty i inne potrzebne odzienia, które po skończonem widowisku sam własną odbierał ręką, i do własnego chował pomieszkania. Aktorki musiały także mniej więcej być w stanie natury, choć niekoniecznie co do ubioru, ale przynajmniej co do sposobu, jakim z nich dla dobra ogółu, to jest swego i swojej szkatuły korzystał.

— Talenta aktorów są oczywiście moją własnością, bo ja je produkuję światu; mawiał dalej tonem przekonania. A że znaczna część talentu aktorki jest w jej wdziękach, więc i jej wdzięki należą do przedmiotów, które mam prawo obrócić na korzyść moją. Muszą i jedni i drugie to robić co ja chcę, bo ja dyrektor; ja wiem najlepiej, co mi korzyść przynosi. Publiczność, to rola urodzajna, którą Bóg przeznaczył na pożytek dyrektorów teatru; aktorowie zaś i aktorki to są moje narzędzia rolnicze, których ja dyrektor wiem najlepiej jak użyć, abym miał plon sowity.

— Jakżeż się żywią? pytał zakłopotany Jan.

— Wikt daje nam dyrektor, odrzekł Franciszek.

— I jakiż wikt? pytał dalej Jan, obdarzony apetytem prawdziwego krakowiaka.

Franciszek wskazał rogóżkę swoją z gestem wiele znaczącym i odrzekł:

— Odpowiedni strojowi! nie wykwintny! ale jak twierdzi dyrektor, prawdziwie narodowy i zdrowy. Jakoż nieprzypominam sobie, bym miał kiedy niestrawność. Słoma na plecy idzie, a mąka i krupy do żołądka.

— A gażę płaci wam? i jaką?

— Płaci najregularniej ostatniego każdego miesiąca, i gaża nie zła. Ale zobaczysz!

Stali już przed pomieszkaniem dyrektora, który przytykał o muz przybytek. Za chwilę stał już Jan przed panem dyrektorem, którego pokój był wcale ładnie umeblowany i we wszelkie wygódki zaopatrzony. Wyprawiał właśnie pierwszą aktorkę, wcale ładną brunetkę, wytwornie ubraną, do rotmistrza od huzarów, wielkiego protektora sceny dramatycznej, i ojcowskie dawał jej nauki i napomnienia.

Pan Makary zrobił wielkie na naszym Janie wrażenie, mianowicie swoim szlafrokiem perskim, i długim cybuchem o sporym bursztynie. Bo zresztą powierzchowność pana Makarego nie miała w sobie nic szczególnego. Niewielkiego wzrostu, gruby, miał on twarz tłustą, pocułowatą, żadnym wyrazem nieodznaczoną, chyba tą okrągłością i czerwonością, świadczącą o dogadzaniu żołądkowi. Oczy miał

niewielkie, ale za to żywo biegające w koło, z wyrazem niepewnym, badającym, ciekawym i chciwym. W ładnem pomieszkaniu, i pysznym szlafroku, wyglądał nieco pan Makary, na lokaja, ubranego w strój swego pana, a ruchy przypominały wczorajszego ulicznika, któremu loterya posłużyła. Pan Makary przyjął naszego Jana bardzo łaskawie, i zaczął go wypytywać o role w jakich występywał. Za każdą odpowiedzią krząkał i puszczał dymy rzęsiste, dla dodania sobie powagi, której mu natura odmówiła.

— Ale cóż więcej umiesz?... pytał dalej.

— Jakto, co więcej? zawołał Jan zdziwiony.

— No! naturalnie!... jużciż nie urodziłeś się aktorem, więc przecie musisz co więcej umieć, z rzeczy, które prócz aktorstwa mogą ci się na co przydać w życiu.

— Piszę nie źle, i nieraz przepisywałem w Krakowie.

— No! no! to wiele; i spojrzał na parę pułek, zapełnionych dobrze obdartemi manuskryptami grywanych sztuk.

— Lecz co więcej umiesz przecie?

— Mój ojciec był szewcem; to ja tam trochę się od niego nauczył...

— Łatać buty!... i to pożyteczne dosyć...

— Ale tak w gospodarskim, w domowym zawodzie, czy nie umiesz się czem zająć... naprzykład przy kuchni—

— Ta zapewne! po śmierci ojca, nieraz pomagałem matce przy kuchni.... i matka chwaliła mnie dosyć.

— No! No! dobrze moje dziecko! zaraz przekonamy się o talentach twoich, właśnie uciekł wczoraj ten łotr co grywał starych ojców.

— Ja tylko nie wiem czy starych ojców potrafię...

— Głupiś mój synu!... On był także kucharzem towarzystwa.. Ale ja pomyślę i o rolach dla ciebie... a tymczasem moje dziecko idź do kuchni. Panna Józefa jak wróci od rotmistrza da ci instrukcyą, co masz gotować....

Zgłupiał biedny Jan bo cóż miał robić. Taki to już był obyczaj u pana Makarego; każdy aktor musiał się czemś jeszcze zajmować, byli nawet tacy, którzy w braku innych talentów domowych drwa rąbali. Biedny Jan musiał kuchcikować pod nadzorem panny Józefy, która zajmowała się wewnętrznem gospodarstwem pana Dyrektora. Ciężkie przebył życie biedny Jan, bo pracował dzień i noc. Na brak ról skarżyć się nie mógł, bo pan Makary dawał mu role najrozmaitsze, nie pytając zupełnie o jego zdolności. Zacny ten dyrektor, tego był zdania że człowiek wszystko zrobić z siebe może i że aktor wszystko odegrać może i musi, co mu dyrektor odegrać każe. O sposób odegrania nie szło mu zupełnie.

— Mają afisz ładny; mawiał w takim razie; mają sztukę nową o *rozbójnikach*, prawdziwy dramat *ludowy*, trzy dni napociłem się aby cztery akta autora podzielić na 10 pór, i wymyślеć dla każdej pory ciekawy napis, wszystkie role są zajęte; czegóż więcej mogą sobie życzyć?..

(D. n.)

Najnowsze dzieła.

Zachwycenie i Błogosławiona przez Teofila Lenartowicza, Poznań 1854.

(Ciąg dalszy)

Za godło do drugiej poezyi, Błogosławiona wziął autor przysłowie ludowe:

Niech inni sieją solą, ja posieję makiem!

I istotnie jakby makiem siał, taka cisza była w sercu poety gdy to pisał, taki sam spokój, taką ciszę budzi w sercach czytelników, a z ziarna zasianego maku stokrotny wyrasta plon, z słów poety, rzuconych w serca ludzkie, rodzą się uczucia istotnie błogosławione. W kim tylko iskra religijnego tli uczucia, w tym w jasny płomień ona wzrośnie, a czego niedokazały nauki kapłanów, to zdziała słowo poety.

Największa wielkość w prostocie! wyrzekł poeta nasz, Kornel Ujejski. Otóż do żadnego poety nie można tak zastósować tego wiersza jak do Lenartowicza. On jeden z pomiędzy poetów polskich przejął się nietylko językiem i formami poezyi ludu, lecz najwewnętrzniejszego ducha ludu odgadł, największe tajniki jego fantazyi odkrył. I równie jak ten lud, to co go cieszy i co go boli, w prostych orzeka wyrazach, tak Lenartowicz najpoetyczniejsze pomysły, zaczerpnięte z fantazyi ludowej, w nadzwyczaj proste ubiera szaty. Ztąd taka swoboda wysłowienia, taka rzewność w oddawaniu myśli, taka poetyczność niewymuszona obrazów!

Chcielibyśmy co piękniejsze ustępy z poezyi: Błogosławiona podać czytelnikom naszym, lecz wybór jest trudny. Żal się robi każdego wiersza. Taka piękność jest wszędzie rozlana. Lepiej więc podać ten utwór całkowicie i przyczynić się do rozpowszechnienia większego tej poezyi, aby i poeta mógł sobie powiedzieć, iż po całej ziemi polskiej makiem posiał, pokój sercom głosząc.

BŁOGOSŁAWIONA.

Na sądy boże dusze się spieszą,
Jedne się smucą, drugie się cieszą,
Bo na przedniebiu stoi na straży
Anioł co ludzkie uczynki waży:
Kiedy dobrego przeważa ważka,
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,
Nad czoło mały, świecący krążek,
Przepaskę z jasno-niebieskich wstążek,
Ostatnią łezkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera,
Tam się patronce swojej pokłoni,
Co się przez życie modliła do niej,
I ucałuje koniuszek szaty
Świętej Barbary i Małgorzaty,
A owe święte dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą.
Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
Jak święci pańscy stoją w obłokach,
Ciż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele:
Święta księżniczka pełna pokory,

Co wystawiła cztery klasztory,
I sama w jednym czas bardzo długi,
Robiła biednym proste posługi,
Nosiła wodę, zmywała statki,
Choć miała w domu wszelkie dostatki,
I gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała;
Bo przytem była piękna, rozumna,
Ale nie taka jak drugie dumna,
Więc uprosiła u ojca księcia,
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie
Już upatrzyła pana na niebie; —
A jak wyrzekła tak dotrzymała,
Za co światłości wiecznej dostała,
I teraz stoi w słupie obłoku,
Święty klasztorek dzierżąc przy boku.

Za nią oparty o pszenny snopek
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu też Pan Bóg nagrodził za to.
Owa uboga, wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta;
Ona pszenica kłosista biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.
Przy nim pomarli synkowie mali
Trzymają w rączkach snopki konwalii,
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącej. —
Gdzie się obróci, święty się słania,
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętej Agacie i Petroneli,
Co się po niebie przechodzą w bieli,
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem.
I przed Maciejem, i przed Florjanem.
Tam siedzą święte biskupy siwe,
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im troska lic nie zaciemia,
Bo też to niebo nie nasza ziemia...
Święte patronki dalej ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie, jak im dziękować,
Radaby święte nóżki całować,
Że się ubogiej żadna nie wstydzi,
I że tak piękne niebiosa widzi. —
— Panienki jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć matuchnę bożę,
Aby z daleka, choć aby ździebko;
Widziałem ci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskiem jest za pastuszka,
Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę bożą grywa w multanki. —
— A coż ty żądasz? — Prosiébym chciała:
Żeby też oczko na niego miała! —

Więc święte pańskie dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkiemi
Przegląda jasna królowa ziemi,
A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce,
Na jej rozkazy anieli służą,
Tacy przecudni i tak ich dużo.
— Święta Barbaro! a gdzież ów leci?
— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,
Niesie przed sobą rajskie jabłuszka. —
— Chwała ci Boże! — a owo panie
Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie?
— Niesie kapeczkę z krynicy świeżej,
Co przy stolicy przedwiecznej bieży,
Żeby w czyścowej strasznej posuszy
Odwilżyć usta cierpiącej duszy,
Która się łaski bożej doprasza,
A ta duszyczka, to matka wasza... —
— Chwała ci Boże! — A ówże trzeci,
Co jakby gwiazdka wieczorna leci?
— Ten do waszego pospiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki.
A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali.
Ubodzy ludzie choćby z najdalej,
A on każdemu będzie przykładał,
A anioł pański mu podpowiadał. —
— Chwała ci Boże! — A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?
O święte panny, jakże mu spieszno
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...
— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata,
I o tej porze, po biodra nagi,
Znosi cierpliwie okrutne plagi,
Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem.
— Chwała ci Boże! — A ówże biały
Co mu się skrzydła porozstrzępiały?
— Ten niesie liścik od Matki bożej,
Który na wiejskim ołtarzu złoży
Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszłe wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całej
Nowe sukienki na siebie wdziały,
I kwiecia żeby przyniosły pęki
I zaśpiewały na Bogu dzięki,
Bo już w tym kraju przez litość Boga,
Nie będzie moru, głodu ni wroga. —
— Chwała ci Boże! za wszystko chwała,
Com tu na własne oczy widziała,
Gdybyż to ludziom powiedzieć o tem,
Co umierają z głodu pod płotem,
Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarżą na rękę Bożą,
A tu tak wiela różnej pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy. —
— Nie bój się siostro, ich tam nauczą
Te dziady co się o kiju włóczą
Z ewangelijką jak apostoły,*)

*) Pamiętam z dziecinnych lat, jak co niedziela przychodził do naszego domu taki dziadek z ewangelijką pod pachą, a stanąwszy przy drzwiach, po błogosławieństwie całemu domowi, odczytywał ewangeliję na tę niedzielę przypadającą z wielkiem zbudowaniem słuchaczy. Przypisek autora.

Albo stawają po przed kościoły,
Gdzie się uśmiecha z wilgnej świątnicy
Mały aniołek z nad kropielnicy,
Tak wyrobiony w ciemnych cegiełkach,
Jak gdyby żywy na dwóch skrzydełkach;
A na wpół nagie, wieśne pastuszki,
Dają mu leśne jabłka i gruszki. (D. n.)

POMNIK KOPERNIKA W TORUNIU
i deputacya krakowska, odsłonieniu jego dnia 24. i 25. października 1853. przytomna.

Hołd nauczycielowi wieków i narodów w miejscu jego urodzenia pomnikiem oddany, jest rzeczą, która zająć musi każdego, co czuje wartość nauk i oświecenia. Miło było dla nas czytać w „Czasie" jak miasto, które dziś jest obcem dla Krakowa, przyjmowało uroczyście jego delegata i uznało zasługi około nauk, dawniej i dziś w tej stolicy podejmowane. Nie obojętną była wreszcie i ta okoliczność, iż z powodu owej uroczystości wyszło nowe dzieło: „*Zur Biographie von Nicolaus Copernicus.*" Kopernik jako astronom i uczony jest wprawdzie całemu światu znany; jego system przyświeca tak narodowym jako i pojedyńczym uczniom, ale zato o życiu jego prywatnem niewiele wiemy. Akademik w Krakowie, nauczyciel w Rzymie, kanonik w Narzycach (*Frauenburgu*), administrator dóbr kapituły, poseł do Grudziąża, doktor medycyny, mechanik, nakoniec pisarz, pracował do siedmdziesiątego roku wieku swego niezmordowany. Ileżto zajmujących dla nas rzeczy z jego ówczesnego położenia dałoby się wydobyć!? To też z niecierpliwością wyglądałem dzieła, które miało nam tego wielkiego mędrca wystawić w każdej dobie. Oczekiwanie to było jeszcze i tem słusznie wytężone, iż od autora owej biografii, jako doktora filozofii i professora szkół w Toruniu, który dla poszukiwania materyałów o Kopernika był umyślnie w Krakowie za poleceniem c. k. posła przy dworze berlińskim akredytowanego, który dwa razy jeździł do Frauenburga i udawał się za morze do archiwów szwedzkich w tymże samym zamiarze *), można było spodziewać się nie małego plonu po owych trudach literackich, a to tem więcej, ile że autor sam powiedział: „*Wir haben in Copernicus nicht nur den grossen Forscher zu bewundern, wir haben in ihm nicht nur den milden Geistlichen zu ehren, sondern wir können in ihm auch den ganzen Menschen lieben.*" „Całego człowieka" miał nam tedy przedstawiać pan doktor filozofii, a on nam pokazuje tylko jego kolebkę i mary, to jest, pierwsze ocknienie się do życia i zgon. Jestżeto biografia, albo „człowiek cały" w każdej dobie? Gdybym niemiał przad oczyma rozłożonej książki, niewierzyłbym nigdy takiemu opowiadaniu. Ależ mniejsza o to pomnąc, że i między naszymi literatami zdarza się iż *parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.* Tu idzie o co innego. Rozbierzmy najprzód dzieło na jego części. Biografia Kopernika, przez doktora Prowe in 4to większego formatu wydana i z 58. stron z osobną przedmową złożona, zawiera wiele rzeczy, tylko nie biografią astronoma. I tak, rozpoczynając dzieło o naszym astronomie, zapytuje się: „*Wie der Name diplomatisch richtig zu schreiben sei.*" Autor dowodzi długo i szeroko dokumentami z rozmaitych źródeł urzędowych czerpanemi, iż imię czyli raczej nazwisko, jakie nasz astronom nosił, pisano: „Copernic, Coppernick, Coppernig, Coppernigk, Cupernick, Czeppernick, Czöpperniek, Cöppernick, Kopernigk, Koppernik, Ko ppernig, Koppering, Koppirnik, Koprnik, Zepernik, dodając przytem, ile razy każde w aktach, albo dziele jakiem jest wspominane. Radzi on pisać „Koppernigk" nietylko dlatego, że w aktach toruńskich przeważa taki sposób pisania, ale z tej największej przyczyny, ponieważ to zakończenie „gk" znaiduje się *im Niederdeutschen!* Jakoż, pisze na innem miejscu, z tego powodu uważano Kopernika za chłopa westfalskiego „*wegen des niederdeutschen Klanges.*" Nieporównana logika! Pan doktor filozofii radząc, jak mają inni pisać, sam jednak nigdzie nie używa „Koppernigk" ale wszędzie „Copernicus" mówiąc o astronomie. Z taką samą ścisłością rozprawia dalej długo i szeroko o ojcu naszego astronoma, — o jego najstarszym synie, Andrzeju, i o całej familii Watzelrodów, okazując tu także „*die verschiedenartigsten Abweichungen in der Schreibart Watzelrode* *)" Samemu astronomowi, dla którego jeździł za morze i pod góry karpackie do Krakowa, poświęcił tylko niecałych trzy kart, dodawszy, że rok urodzenia jego i śmierci dał się łatwo wynaleść, ale o dniu, w którym ta i tamto nastąpiło, powiedzieć tego niemożna. To właśnie znowu dowodzi na owych trzech kartach. Oto jest treść dzieła, przeznaczonego dla uświetnienia uroczystości Kopernika (*Festschrift zur Feier der Enthülung des Copernicus-Denkmals*) które na przekorę swojego tytułu i przedmowy nazywać się może biografią Watzelrodów, Andrzeja Kopernika i jego ojca, ale nigdy naszego astronoma. Czemże właściwie jest to pismo? Zaraz i na to znajdziemy odpowiedź, skoro bliżej wnijdziemy w jego przedmowę, wyimki i zdania, jakie robi nad temi ostatniemi.

„*Geboren in einer Stadt,* mówi w przedmowie o naszym astronomie, *die in den Grenzmarken des Germanenthums gelegen ist, ist Copernicus nicht unbestrittenes Eigenthum seiner Nation geblieben.*" Co znaczy innemi słowy: że Kopernik chociaż od Polaków reklamowany, pozostał jednak własnością owego narodu, który się znajduje granicami Germanów objęty. Dalej utrzymuje za rzecz ważną w §. 4. tę okoliczność, że ojciec naszego astronoma występuje jako rzecznik

---

*) Szwedzi wyprowadzili z Torunia wiele kosztownych rzeczy i papierów do Sztokholmu.

*) Przywodzę umyślnie całe okresy niemieckie, aby się niezdawało, iż pisząc po polsku podsuwam zdanie, którego autor może niemiał.

w Toruniu, w sprawie mieszczanina gdańskiego roku 1754 bo ona ma zbijać niektóre podania krakowskie. Wreszcie kończy dodatkiem (*Anhang*) utrzymując, iż familia Koperników pierwej w Toruniu, bo już w czternastem stuleciu, aniżeli w Krakowie daje się dokumentami radzieckiemi wykazać, co wszystko dąży wprost i z ukosa do wykazania niemieckiej astronoma narodowości. Teraz zapytuję się: Co ta książka (*Festschrift*) ma znaczyć wobec delegata krakowskiego, któremu z jednej strony przyznają w Toruniu zaszczyt wydania z naszego łona wielkiego męża, a z drugiej podsuwają zaprzeczające pismo? Jestże to ironia czy sceptycyzm? Czekałem przez rok cały, co na to Kraków odpowie; alež niewidać odpowiedzi. Prawda że niekażde pismo zasługuje na nię; tu nawet staje się ona zbyteczną; bo gdy znany Europie astronom Arago, uczony Ludwik Wachler i sławny Humboldt wyrzekli publicznie w imieniu wszystkich Niemców, pismem do byłego „towarzystwa przyjaciół nauk“ przesłanem, że Kopernik był Polakiem, a Polska ma słuszne prawo szczycić się sama wydaniem na świat takiego męża, przeto możemy na tem poprzestać i o zdanie toruńskiego „doktora“ niewiele się troszczyć. Dzieło jednak jego wobec uroczystości delegata krakowskiego rozpowszechnione, niemoże i niepowinno ujść protestacyi. I mnieżto ziemianinowi z Wilczej-woli przystało wysyłać ja w świat uczony? Ha! Niech i tak będzie, kiedy nasi uczeni pokryli się przed pociskami pana doktora filozofii Prowe. Zaczynam tedy, albo jeżeli się lepiej podoba, kończę na odpowiedzi panu professorowi.

Rzeczony doktor filozofii toruńskiej zdaje się należeć do rzędu owych osób, o których gdzieś powiedziano:

Nous redigeons au long de point en point,
Ce qu'on pensa, mais nous ne pensons point.

Oto są jego własne dowody na potwierdzenie tej prawdy. I tak:

Argument, jaki przywodzi w przedmowie względem urodzenia Kopernika „*in den Grenzmarken des Germanenthums*“ miałby jakąś wartość, gdyby nie był zupełnie fałszywy i od samego autora jego cytatami nie zbity. Wszakże na stronie 52. sam pisze: „*Mitten im Winter 1512 war der Bischof Lucas (Watzelrode) von Heilsberg aufgebrochen, um den Feierlichkeiten beizuwohnen, die zu Ehren der Vermählung des Königs Sigmund I. in der Hauptstadt seines Reiches veranstaltet wurden. Der Bischof glaubte ungeachtet seines hohen Alters die Einladung nicht ablehnen zu dürfen, da sich an jene Festlichkeiten zugleich ein allgemeiner Reichstag anschloss.*“ A zatem był i na sejmie, jak wszyscy biskupi krain polskich być byli powinni. Jakże można zdrowym rozsądkiem utrzymywać miejsce urodzenia naszego astronoma w granicach Germanów, kiedy Toruń, jego ojczyzna, nigdy nieprzestał być miastem polskiem województwa Chełmińskiego aż do czasów naszych, kiedy Kraków, gdzie się Kopernik uczył, był zawsze stolicą Polski, a w wieku Kopernika mieszkaniem jej królów; kiedy Warmia gdzie pisał i obserwował były prowincyą polską; kiedy nakoniec królestwo pruskie niebyło się wówczas jeszcze urodziło.

Pan Prowe złożywszy dzieło z samych prawie cytat i wyimków z dzieł obcych, zrobił je wprost sobie przeciwne, jak to często bywa w sprawie, która się w widokach nie prawdy, ale własnego interesu prowadzi. Między jego dowodami są takie, które Śniadeckiemu a podobno i Krzyżanowskiemu nieznane, dziś służą tem bardziej do ugruntowania polskiej narodowości Kopernika, im upartszy był antagonista do jej zaprzeczania. Z powodu dzieła ziomka swojego, Zernecke, musiał p. Prowe rozpisać się o jego twierdzeniu, a zbijając jego myśli musiał wspomnieć o manuskrypcie, który w jego książce wszystko rozstrzyga. Manuskrypt, o którym mowa, znajduje się w archiwum gdańskiem i nosi tytuł: „*Genealogie, Stam-Register und Abkünfte etzlicher vornehmen Geschlechter und Familien in der kön. Stadt Danzig.*“ W owym regestrze po Genealogii Szachmanów, następuje familia Łukasza Watzelrode, teścia Mikołaja Kopernika. Przy tym Koperniku stoją oprócz dodatku „*von Krakau*“ następujące słowa: „*welcher Anno 1469 einen Brief geschriben hat an Dietrich Becker zu Dantzig* *)“ Że nadto Koperniki z Czech do Polski przywędrowali, dowodzi okoliczność, którą Palacky, 1831 r. w czeskiem muzeum przywodzi, a p. Prowe powtarza, iż w księgach pragskich metropolitańskich, znajduje się wspomnienie sprzedaży z d. 25. października 1391, ściągającej się do kościoła Kosmanoskiego w obwodzie bunclauskim, podług której miała się znajdować pieczęć na dokumencie „Ulryka z Kopernika.“ Wieś „Kopernik“ leży w sąsiedztwie „Kosmonos“ i była kolebką szlachty Koperników, o których na początku wieku piętnastego żadnej już wzmianki nigdzie niemasz w Czechach, z tej bardzo naturalnej przyczyny (dodaje) ponieważ z powodu wojen religijnych i domowych prześladowań, musieli się byli z kraju wynieść.

Temi czy innemi cytatami własnemi przekonany pan Prowe pisze w ostatku: „*Uiberhaupt erkläre ich hier nochmals ausdrücklich, dass ich die Möglichkeit der Einwanderung des Niclas Kopernik aus Krakau gar nicht bestreite.*“ A pocóż było, panie doktorze filozofii, pisać książkę, która nic niedowodzi? i obiecywać biografią Kopernika, astronoma, a częstować nas bredniami, nietrzymającemi się kupy? *Si tacuisses, philosophus mansisses.*

Rychlicki
z Wilczej woli.

---

*) Kraków, Toruń i Gdańsk należały do związku Hanzy, i kwitnęły szeroko w piętnastym wieku. Wisła była dla nich tem, czem dziś droga żelazna dla Londynu albo Paryża. Główny kierunek handlu w południową Rosyę, i do Węgier szedł przez Kraków. Toruń i Gdańsk wysyłał niemieckie sukna i kolonialne towary przez Kraków, stamtąd znowu sprowadzał wschodnie wyroby i miedź. Tego rodzaju związki między rzeczonemi miastami sprawiały, że dla nich przenosili się mieszczanie w miarę potrzeby lub związków familijnych z jednego do drugiego miasta. Nie dziw tedy że genealogia Watzelrodów i Koperników w Gdańsku się znajduje, kiedy Krakowianie albo Torunianie zastępowali Gdańszczanów w sądach, albo ci ostatni tamtych.

Rozmaitość.

* **Sprostowanie.** Winni jesteśmy sprostować wiadomość w Nr. 151. Nowiu naszych z d. 19 Grudnia r. b. podaną w sposób ubliżający zwyczajom u dworu Jego Cesarzewiczowskiej Mości Arcyksięcia Karola Ludwika, oraz godności osób zostających na czele kraju, i wyrazić że oprócz dostojnych Naczelników w Rządzie i w kraju, nikogo z Dam nie było z pożegnaniem u Arcyksięcia.

* **Z nad ujścia Wisłoki**, dnia 16. grudnia. Byłbym podobnie wielu twoim korespondentom zaprzestał cię nudzić mem pismem, gdybyś był mi nie trafił w słabiznę, umieszczając: «Starego komornika». Cóż bowiem może być milszego dla serca obywatelskiego, jak ujrzeć obrazek tak wiernie skreślony.

Umieszczaniem podobnych szkiców zapewnisz sobie wielu nowych prenumeratorów z grona zadłużonej szlachty, a że to grono jest liczne, przekonać cię może c. k. tabula, przekona cię także dzisiejsze życie szlacheckie, bo mimo tylu wymówek «że szlachta teraz butniejsza, że minę ma gęstszą» dla tego że zboże popłaca i że bierze 10cio letnią zaliczkę, jak mi Bóg miły tego nie widać i niema się czemu dziwić, bo ceny zboża zginęły w nieurodzaju i koszcie administracyi, a renty, ów zakazany owoc, którego nie każden może skosztować szlachcic, trudno żeby wystarczyły na tyle potrzeb i zaległości od kilku lat zebranych. Zdaje mi się że największy nieprzyjaciel szlachty, niemoże dzisiaj jej zarzucić ani nierozsądku ani rozrzutności. Czy nabrała rozsądku czy niema co rozrzucać, o tem sam jako szlachcic wyrokować nie mogę, zostawiając sąd owym co to zawsze i wszędzie tej biednej szlachcie zazdroszczą.

Ale wracając do «Starego komornika» żałuję że autor nie opisał jego powierzchowności. Komornik taki jak tam opisany zwykle jest chudy i wyżółkły; żółtaczki bowiem nabrał od ciągłej myśli o złocie, i od widoku żółci, którą stronom w jego ręce wpadłym namnożył. Nosi on biały halsztuch, *vatermördery* po same uszy, frak z czasów Napoleona a wąsy pokonstytucyjne. Jeździ nie czterema końmi, lecz czterema klaczami, za któremi czasem 7 źrebiąt biegnie, bo klacze komornika zwykle Bóg bliźniętami obdarza. Woźny jego i powiernik wszystkich tajemnic komorniczych nosi borsuczą torbę, w której się mieszczą wszystkie nieopieczętowane wyroki i termina sądu szlacheckiego. Z niemi on obchodzi wszystkich żydów i lichwiarzy, tak że każden szlachcic mimo zwierciadła jakim dla niego jest tabula krajowa, podpada ciągłej kontroli, i żadna dyplomacya mu nie dopomoże, a przecież wiadomo że dyplomacya z finansami chodzą w parze, i kiedy pierwszych tajemnica wydana, to druga często upada. Szlachcicowi tylko jednemu niewolno, choćby miał najdyplomatyczniejszą głowę, sobie poradzić, bo tajemnica jego finansów spoczywa w torbie borsuczej i elastycznym języku woźnego.

Komornik taki zwykle ma dwóch ścisłych przyjaciół, których sobie z grona detaksatorów wybrał. Przyjaciele ci chodzą zwykle w kontuszu a najmniej w czamarze, a jak czasem zechce im się być *nieparcialnymi* w oszacowaniu, tobyś ukląkł przed tą sprawiedliwością. I tak wiem wypadek że gdy w zimie szacowano ogród owocowy, powstała między detaxatorami sprzeczka. Jeden utrzymywał że to jabłoń, drugi twierdził że gruszka. Otóż niemogąc się zgodzić posłali po ogrodnika o 2 mile mieszkającego. Niewiem już jak ogrodnik tę sprawę rozstrzygnął, ale wiem że detaxacya o 48 godzin się przedłużyła, a 48 godzin u komornika i detaxatorów, to nie żarty, bo wiem wypadek, że podobny kontuszowy detaxator, przyjechawszy we środę i wyjechawszy w piątek 58 złr. 35¾ kr. m. k. sobie dyjet naliczył.

Życzyłbym ci zatem redaktorze, abyś autora „Starego komornika" nakłonił, żeby z wrodzonym sobie talentem podobnych rzezimieszków szlacheckich kieszeni opisywał, a pewny jestem, że mu materiału nie braknie. Ty zaś liczbę swoich prenumeratorów podwoisz.

* Powieść: Dziwożona, uczyniła już blisko trzy tomy, tom do 300 stronnic. Szanowny autor pisze nam, iż jeszcze będzie sześć rozdziałów a więc tom blisko. W żaden więc sposób nie moglibyśmy byli dokończyć tej powieści w tym roku. Abyśmy więc dla zabraku manuskryptu, niepotrzebowali co chwila przerywać druku jej w Nowinach lub po dwie stron jedynie umieszczać, wyczekamy, aż dopokąd szanowny autor zupełnie jej nieukończy, poczem w kilku numerach, po kilka stron w każdym numerze, umieścimy dokończenie Dziwożony.

* **Podróżnik Duranton królem Murzynów.** Francuz Duranton otrzymał był od Francyi i Anglii przed kilku laty polecenie odbycia po Afryce podróży, od Senegalu aż do Egiptu. Z Sant Louis puścił się pod zasłoną uzbrojonych murzynów i obładowane mając wielbłądy mnóstwem towarów, które rozdarować miał między ludy, którędy podróż odbywać miał. Niedaleko Tombuctu, u naczelnika zamożnego pokolenia Murzynów, tak mu się podobało, iż ani dalej podróży odbywać ani do Europy wracać, mu się nie chciało. Istotnie środkowa Afryka jest rajem ziemskim. Gdy tam w którem pokoleniu pojawi się cudzoziemiec jaki, przyprowadzają mu najpiękniejszą dziewczynę. Duranton zakochał się w młodej murzynce, którą mu przyprowadzono. Była to córka naczelnika. Został więc zięciem króla murzynów. Po śmierci tego króla korona przypadła Durantonowi i dwom szwagrom jego. Lecz w Afryce nie znają prawa pierworodztwa. Najsilniejszy z rodziny zostaje królem. Wystąpiło więc trzech zappaśników. Królewicze afrykańscy byli siły herkulesowej, Francuz wątłej budowy. Lecz ufał on w swą zwinność, i w zręczność gimnastyczną, nabytą w Europie. Najpierw królewicze walczyli między sobą. Po długiej i zaciętej walce powalił jeden drugiego. Wtedy zwycięzca zawołał na Durantona:

— Pójdź biedny Europejczyku, z tobą wnet się uporam, lecz ostrożnie i łagodnie z tobą postąpię, abym ci kości nie połamał. Nastąpiła walka jakby między lwem i lisem. Lecz o dziwo! Olbrzymi Afrykanin padł nagle jak długi, potknąwszy się o nogę, którą mu Francuz zręcznie w walce podstawił. Duranton został królem a przypomniawszy sobie kolegę z wojska, który go w Algieryi tego podstępu podstawiania nogi nauczył, posłał mu przez wdzięczność znaczną sumę do Paryża. Jako król, Duranton wsławił się bardzo. Ukształcił sobie wojsko, podbił sąsiednie pokolenia, i utworzył silne państwo. Do San Louis często przybywał, w odwiedziny do swych ziomków. Przybrał obyczaj i ubiór murzynów, chodził jedynie w kaftanie bez rękawów; boso i z odkrytą głową, długą czarną brodą i czarnym długim włosem. Mówił kilkoma afrykańskiemi językami, po arabsku bardzo biegle, ojczyznę swą i ziomków kochał zawsze. Ilekroć dowiedział się o złym zarządzie kolonii francuskiej lub o nadużyciach, udawał się natychmiast do gubernatora, i groził mu zawojowaniem kolonii, jeżeli się nie zmienią rzeczy. Syna wysłał do Paryża dla wykształcenia go w medycynie, sam zaś zmarł niedawno i pochowany został w olbrzymiej mogile. Przed kilku miesiącami umarł i syn jego w drodze do Afryki. Kto odziedziczył po nim państwo, niewiadomo.

* Obligacye indemnizacyjne niosą spekulantom lwowskim dwanaście procentu. Tak n. p. kupują za 6000 złr. m. k. obligacyi na 8000, które niosą 400 złr. procentu. Te obligacye zastawiają w banku filialnym za 4000 złr. m. k., od których płacą po 4% 160 złr. rocznie. Od 2000 złr. więc, o które kapitał ich się uszczuplił, pozostaje im 240 złr. czyli po 12 od sta. Za otrzymane przez zastaw 4000 złr. kupują znowu obligacye i zastawiają je znowu i to tak długo czynią, dopokąd całego kapitału w ten sposób nie umieszczą. Ztąd to pochodzi takie poszukiwanie obligacyj indemnizacyjnych pomiędzy kapitalistami.

Przyjechali od dnia 20. do 21. Grudnia do Lwowa.

PP. Kruszewski Henryk, z Chorobrowa. Malczewski Julian, ze Skwarzawy. Czerwiński Jan, z Remiszowiec. Torosiewicz Emil, z Krakowa. Jarosławski Grzegorz, z Pustomyt. Smoniewski Leopold, z Jaryczowa. Łodyński Hieronim z Milatyna. Golejowski Jan hr. z Krzywczego. Sozański Celestyn, z Błazowa. Zagórski Wicenty, z Podburza.

PP. Borkowski Bolesław hr., z Kocmanic. Skrzynski Władysław z Nozdrzca. Udrycki Adolf, z Choronowa. Czajkowski Hipolit z Bobrki. Babecki Kajetan, z Ryszowa. Vivien Wincenty, z Wysocka. Barański Karol, z Chłopczyc. Jaruntowski Jan, z Twierdzy. Malczewski Stanisław, z Cześnik.

Wyjechali od dnia 20. do 21. Grudnia ze Lwowa:

PP. Onyszkiewikz Fortunat, do Borusowa. Nahojowski Antoni do Czernicy. Tworowski Karol, do Hołyna. Ośmiałowski Szymon, do Janczyna. Czajkowski Izydor, do Jurastawic. Czermiński Juliusz, do Glińska.

PP. Dzieduszycki Jan hr., do Sichowa. Łotocki Włodzimierz, do Zerawy. Piłatowski Marecli, do Bobrki. Babecki Władysław, do Brzeżan. Sozański Franciszek, do Trembowli. Sozański Jan, do Czortkowa. Sozański Wincenty, do Grabówki. Dzieduszycki Włodzimierz hr., do Krakowa. Russocki Włodzimierz hr., do Krakowa. Chiliński Adolf, do Krzywego. Obertyński Leopold, do Stronibab. Zaremba Bolesław, do Złoczowa. Strzelecki Jan, do Kukizowa. Jaworski Józef do Kobylnicy.

Kurs telegrafowany z Wiednia 22 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	106	Medyolan za 300 lirów .	—
Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{3}{4}$	Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{4}$
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$126\frac{1}{2}$	Srebra agio	—
Genua.	—	Pożyczka 5% 83 $4\frac{1}{2}$	$71\frac{3}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{2}$	Pożyczka lit. B. . . .	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	—
Liwurno	—	Kolej północna	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 19	Obl. ind.	80
Marsylia	$147\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	—
		Pożyczka narodowa . .	$86\frac{3}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	54	złr.	5	kr.	58
Dukat cesarski	«	5	»	58	»	6	«	2
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	14	»	10	«	16
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	59	«	2	»	—
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	26	»	1	«	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	88	«	—	»	88	«	30

Obligacye. indemnizacyjne 75. — do 75 złr. 50 kr.

(191) **NOWOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE** (2)

w księgarni **H. W Kallenbacha** we Lwowie:

Album zawierające widoki brzegów Wisły litografowane przez Max. Fajans. Warszawa 2 Złr. 42 kr.

Cmentarz Powązkowski pod Warszawą, opisał Kaz. Wład. Wojcicki. Litografia M. Fajansa. Z rycinami A. Matuszkiewicza zeszyt 1szy w 4ce Warszawa 1855 Przedpłata na 12 zeszytów 27 Złr, 12 kr

Kaczkowski Zygm., Bracia ślubni. Powieść z czasów Augustowskich 3 tomy w 8ce Petersburg 1854. 9 Złr. 30 kr.

Kaczkowski Zygm., Mąż szalony. Powieść 2 tomy w 8ce Petersburg 1855. 5 Złr. 12 kr.

Kalendarz ścienny na r. 1855 chromolitografii Max. Fajansa w Warszawie 1 Złr. 20 k.

Korzeniowski Józ. Pan Stolnikowicz Wołyński Powieść 2 tomy w 8ce Petersburg 1854. 4 Złr. 20 kr.

Lenartowicz T. Zachwycenie i Błogosławiona. Poznań 1855 30 kr.

Popliński A. Historya powszechna dla klas niższych i wyższych gymnazyalnych i realnych. Tom I. Dzieje starożytne. Poznań 1855 2 Złr. 40 kr

Poszyt dodatkowy do **Album Kielisińskiego**. Poznań 1855 6 Złr

Z powodu świąt Numer Wtorkowy Nowin wydany będzie dopiero w Środę.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**